

Karol Maliszewski

Szarość i jej zaprzeczenie

Pierwszy tomik plockiego autora, który wpadł mi w ręce, nosił tytuł „Fuga na ziarno piasku”. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest to jeden z ostatnich zbiorów poety piszącego od wielu lat. Zwróciłem uwagę na charakterystyczny, owocujący określoną wizją świata, ton wierszy wypełniających tę książkę w krótkiej nocy dla miesięcznika „Odra” – tekst spokojnie sobie czeka w kolejce, by się wreszcie kiedyś ukazać. To, co pisałem tam na gorąco, posłuży mi dzisiaj jako punkt wyjścia do rozważań bardziej ogólnych. A pisałem tam, nie zdając sobie jeszcze sprawy z tła, zaplecza i zyciorysu poety, że rozgrywa się tu odwieczny dramat dogadywania się tego, co męskie z tym, co żeńskie. Obydwe tajemnice spotykają się w przestrzeni wiersza i stają wobec trzeciej tajemnicy – tajemnicy słowa, zaś poeta jest tym, który owo zejście tajemnic obserwuje i nagłaśnia, usiłując dociec prawdy o tym, co stanowi nadrzędną wartość ich zbliżenia się i połączenia. We wnikliwie czytającym utwory z tej książki czytelnik może pojawić się wrażenie, że zbliżenie jest okazjonalne, połączenie iluzoryczne. Udało się poecie rozkołysać przestrzeń do tego stopnia, że czytelnik nie ma pewności, co do rodzaju i znaczenia stwarzanych-odtworzanych uczuć, i na ile ta miłość, jeśli to miłość, jest realna, a na ile wynika ze zręcznej gry słów, które dokumentują to, co się mogło zdarzyć. I przed naszym naiwnym czytelnikiem pojawia się następne tego typu pytanie o to, czy ta miłość na pewno wypełniała bohatera w jego życiu, w jego rzeczywistości, kończąc się spełnieniem i happy endem, czy jest tylko projekcją marzeń o podróży i ucieczce, plaży i kobiecie.

Poeta w opisie falowania uczuć sytuuje się w pół drogi, w aksjologicznym zawieszeniu między paradygmatami płci, gdzieś ponad wyobrażeniami przeciętnego samca, lecz poniżej kobiecej uczuciowości i wrażliwości. Tajemnica kobiecości wymyka się mu, zadziwia i wprawia w konfuzję, a tropi ją z oddaniem, z pasją i cieniem jej niejednokrotnie przyszpila celnym słowem, trafia błyskotliwą, adekwatną metaforą. Męski głos staje się tu chwilami głosem kobiecym, tak jakby poeta nadawał swej empatii ogólnoludzkich odcieni, stając wyraźnie ponad podziałami płci. Oto człowiek – chciałoby się powiedzieć – kochający drugiego człowieka. Coś jest ponad pożądaniem, coś jest obok tańca ciała i to – jak się wydaje – zostało tu wypowiedziane. Połączono ów obraz chwilowego szczęścia, doraźnego spełnienia z czymś niejasnym, niepokojącym. Spotkaniu się ciała i dusz towarzyszy przecucie utraty, rozłąki, a dogłębna samotność daje bez przerwy o sobie znać w metaforach związanych z „samotnością piasku”. To rzeczywiście szczęście, gdy dwa ziarenka przyłgną do siebie i wypełni je poczucie jedni (jedności ze sobą i światem), najczęściej jednak tylko ocierają się

o siebie, nie mogąc wyzwolić się z poczucia, że tak naprawdę są obok siebie, a nie ze sobą, gdyż na przeszkodzie idealnie harmonijnego połączenia stoi impuls przyrodzonego egoizmu i fatum pojedynczej samotności.

I kiedy zachęcony sięgnąłem po wcześniejsze tomy **Wojciecha Łęckiego**, odnalazłem ten znany ton rozterki i polemiki, żarliwej dyskusji ze światem i gorzkiej kontestacji jego porządków. Rzecz jasna, że w tej poezji dominuje intencja liryczna, jednakowoż Łęcki jest lirykiem, który odważa się swoją podmiotowość, swoją liryczność narażać na konfrontację ze światem historycznym i społeczno-politycznym. Ne pozostaje li tylko w pięknym ogrodzie o wymuskanych ścieżkach, by opiewać słowika na kruchej gałęzi. Jego wycieczki w stronę publicystycznej dosłowności w naturalny sposób wchodzą w relacje z czymś intymnym i głęboko osobistym. Rdzeniem tej poetyckiej retoryki jest obserwowany z bólem, a niekiedy już z szyderstwem, rozdziew między projektem a realizacją, między zamiarami a wykonaniem, między ideą a rzeczą. To, co projektowano jako idealne (bo miało być tak pięknie, bo miało być tak dobrze) zderza się ze swoją rzeczywistością, daleką od zakładanej doskonałości, kopią. Marzenie zderza się z jego spełnieniem. Tę obserwację potwierdzają niektóre utwory ze zbioru „Drzewa szare od marzeń”, gdzie degradację marzenia sygnalizuje się w oksymoronicznie brzmiącym tytule książki.



Fot. Archiwum Andrzeja Dębrowskiego

Wojciech Łęcki (pierwszy z lewej) w Petrykozach u Wojciecha Siemiona w Kręgu Różewicza. Ponadto: Kazimierz Iwosse, Andrzej Dębrowski i Karl Grenzler.

Zaczyna się tu od dekonstrukcji mitów narodowych i patriotycznych, które wobec „powszechnej szarości” zdają się blednąć, a chwilami po prostu sięgać bruku. Społeczna gorycz związana z traumą stanu wojennego znalazła w tych wierszach odbicie aż nadto wyraźne. Mowa jest o „rozdrapanym kraju”, o tym, że „hymn rozpisany na same cymbały”, mowa jest

o zdradzie, o patriotyzmie zakłamanym, odwróconym do góry nogami. Zwieńczeniem tego nurtu rozważań staje się interesująca metafora horyzontu podobnego do medalika, który oni „gotowi powiesić na szyi narodu”. Z tą osobistą opowieścią o doznanej narodowej zniewadze sąsiaduje opowieść o zniewadze niemal osobistej – to próba zwrócenia honoru własnemu ojcu, żołnierzowi, o którym zapomniała Polska i zapomniał Bóg.

W pierwszym tomiku Łęcki kłócąc się z wszechobecną, zapierającą dech szarością, w paradoksalny sposób staje po jej stronie. Nie widząc szans ratunku przed nią, zaczyna penetrować jej zakątki i zakamarki, by odkryć coś ludzkiego i ciepłego. – Wszyscyśmy zatopieni w szarości – powiada bohater – ale to tylko powłoka, pod którą biją ludzkie serca i opowiadają się prawdziwe historie. I najciekawsze w tym historii jest to, jak bohater do tych serc i historii zaczyna się dobrać. Być może miasto jako wylegarnia nijakości i szarości, jako nieludzka, zdegradowana przestrzeń nie jest jego, może czuje się w nim źle i obco; jednakże miasto jako panoptikum osobowości porusza jego wyobraźnię i rozbudza wrażliwość na to, co wyjątkowe, na to, co inne, osamotnione, opuszczone i wydziedziczone. I paradoks zapęła się dalej, gdy dochodzimy do wniosku, że nie po stronie szarości stoi bohater, lecz po stronie jej zaskakujących, barwnych zaprzeczeń, po stronie tego, co przez tę szarość jest zjadane, utylizowane i homogenizowane. Jest po stronie pojedynczych przypadków i indywidualnych losów. I właśnie wtedy, gdy ucieka od uogólnień w stronę jakiegokolwiek poszczególności, gdy przypatruje jej się z wyjątkową uwagą, jest najbardziej autentyczny i wiarygodny. Wtedy powstają poruszające wiersze. Takie jak „Starzec”.

Starzec

*osiemdziesiątkę zebrał
co do kłosa
listonosza przyjmując
w ubraniu kupionym na śmierć*

*słowa ściubi jak rentę
żeby starczyło na ostatnią spowiedź
chleb krzyżem żegna
przed natrętnymi grzesznikami*

*zwaśniony z księdzem
bogu w ofierze
składa wieczorem
obie morgi dłoni*

*tylko heli żarneckiej
jeszcze nie wybaczył
kosza
sprzed pięćdziesięciu lat*